WIOSNA

PISMO DLA MŁODZIEZY ROBOTNICZEJ

BEZPŁATNY ILUSTROWANY DODATEK MIESIĘCZNY DO „PRAWA LUDU“

Nr 2. Kraków, luty 1912 r. Rok I.

Z DOLI TERMINATORÓW.

Niedawno wyszło z druku sprawozdanie inspektorów przemysłowych w Austryi. Są to urzędnicy, którzy zwiedzają wszystkie zakłady przemysłowe i mają za zadanie usuwanie wszelkich urządzeń wadliwych, grożących życiu i zdrowiu robotnika. Rząd, który ma zawsze do rozporządzenia wiele setek milionów koron na okręty wojenne i na długi państwowe, przeznacza na ten cel wielkiego znaczenia i prawdziwej użyteczności publicznej śmiesznie małą kwotę 992 tysięcy 740 koron.

Tem się tłómaczy fakt, że na każde 100 fabryk i zakładów przemysłowych w Austryi, tylko 65 istotnie było wizytowanych, a bardzo niewiele z pośród nich więcej niż raz jeden. Zważywszy przytem, że najczęściej fabrykant zawiadamiany bywa o wizycie poprzednio, można sobie wyobrazić, że postara się on niejedno zło naprędce usunąć, aby po odjeździe inspektora napowrót wszystko wróciło do dawnego stanu.

Stąd też cyfry, które przedstawia sprawozdanie, bynajmniej nie są prawdziwe; malują one położenie proletaryatu w lepszem o wiele świetle, niż jest ono w rzeczywistości. Niezmierna nędza, jaka mimo to przegląda z kart sprawozdania, jest zaledwie słabem odbiciem tej otchłani krzywdy i mordowni robotników, jaką jest *rzeczywistość!*

Tam, gdzie sprawozdanie notuje zły stan rzeczy, tam z pewnością chodzi już o bardzo wybitne przekroczenie prawa o ochronie robotników. Wykroczenia pracodawców muszą być bardzo rażące, aby wpadły w oczy inspektorowi przy jego zwykle bardzo pobieżnej wizycie.

Sprawozdanie daje też bardzo wartościowy materyał, co do *położenia terminatorów i ich kształcenia zawodowego.*

Sprawozdanie zaznacza brak uczniów w rzemiośle szewskim, krawieckim i w piekarstwie, zaś nadmiar ich w przemyśle metalowym, do którego nęci nowowstępujących nadzieja przyszłych dobrych zarobków w fabrykach maszyn, przy kolejach i innych podobnych przedsiębiorstwach. Zewsząd są skargi na brak uczniów w rzemiosłach. Przyczyna leży w tem, że chłopcy opuszczający szkołę, przeważnie wstępują do fabryk, gdzie po krótkiej nauce dostają odrazu zapłatę.

W sprawozdaniu zaznaczone jest również niedostateczne liczenie się pracodawców z przepisami ustaw, tyczących się terminatorów i ich zawodowego wykształcenia. Najczęściej piśmiennego kontraktu z uczniem nie zawiera się żadnego i skutkiem tego nie brak prób przedłużenia nadmiernie czasu praktyki uczniowskiej. W wielu wypadkach egzamina na czeladników wcale się nie odbywają i niejeden warsztat pracuje samymi uczniami.

Skargi ludności na używanie uczniów do posług domowych znajdują w zupełności potwierdzenie w sprawozdaniu. Nadmierny stosunek ilości uczniów do czeladników spotyka się często w wielu warsztatach i mniejszych fabrykach, i to wpływa bardzo niekorzystnie na zawodowe wykształcenie uczniów. Tak np. w pewnej wiedeńskiej fabryce maszyn personal fabryczny wykazuje tyluż uczniów, ilu czeladników; warsztaty ślusarskie i kowalskie mają w pewnym wypadku cztery razy tylu uczniów, co czeladników, a są i takie, co zatrudniają wyłącznie samych terminatorów. Również źle na zawodowe kształcenie młodych chłopców wpływa fakt corocznie podnoszony przez inspektorów przemysłowych, że majstrowie i pracodawcy używają uczniów do zajęć, niemających nic wspólnego z obranem przez nich rzemiosłem. Mianowicie odnosi się to do spełnianych przez uczniów posług do-

mowych, robót w polu i w ogrodzie, w stajni i przy bydle, a nawet, jak to zwłaszcza ma miejsce w przemyśle szewskim i krawieckim, do niańczenia dzieci, pielęgnowania chorych, prania, noszenia wody, trzepania dywanów itp.

Tak więc sprawozdanie przedstawia, mimo swej niedostateczności, bogaty materyał i doskonały środek agitacyjny dla posłów socyalistycznych, w celu zmuszenia rządu do zajęcia się nareszcie na seryo sprawą ochrony młodzieży robotniczej.

NIEMIROWICZ-DANCZENKO.

ZABŁĄKANI NA MORZU LODOWATEM.

Oto już trzeci dzień błąkamy się po bezmiernem morzu na kawale kry lodowej. Napróżno zawisa zmęczony wzrok na bladej linii zaledwie dostrzegalnego horyzontu. Ani przed nami, ani za nami nie widać lądu. Majestatyczna płaszczyzna, martwa cisza dokoła, pustynia wodna, bez końca, bez granic. Jaskrawe, zimne słońce wstaje. Jak roztopione srebro błyszczą nierówne grzebienie zdradliwie podchodzących fal; cicho mrucząc, podnoszą one i zanurzają krę, na której płyniemy, pędząc ją w dal... I znowu cisza. Od czasu do czasu wśród nieskończonego błękitu morza wybłyska biały ptak wodny, nurkuje i znika w dali. A fale nadbiegają coraz bliżej, jedna za drugą. Nasza krucha skorupka lodowa staje się coraz mniejszą.

Spoglądamy z zabobonnym strachem w tę zielonawą głębię, jakby leżały w niej bezdenne oczy jakiegoś potwora, który nas dziś lub jutro ma pochłonąć.

Przyciśnięci do siebie płyniemy na naszej krze dalej... płyniemy w przestrzenie nieznane i tylko wycie nieszczęśliwego psa, który los nasz dzieli, przerywa straszliwą ciszę tej martwej pustyni.

O, jakże jestem zmęczony! Dziś podzieliliśmy między siebie ostatni zapas solonego mięsa. Zostało nam jeszcze kilka kawałków chleba, garść soli i trochę wody. Co będzie jutro, co pojutrze, o ile nasza kra już wcześniej nie zostanie rozbitą przez wciąż jednostajnie idące fale? Nikt słowa nie wymówił. Wszystko milczy. Biedny, stary myśliwiec modli się dzień i noc, patrząc tęsknie w nieruchome niebo. Młody chłopiec, który tak czule żegnał się ze swą narzeczoną, wybierając się tydzień temu na łowy — położył się w tępej rozpaczy na plecach, objął swą kędzierzawą głowę obiema rękami i skamieniał nieruchomie. Kudłaty pies przytulił się do mnie i wyje, jak gdybym ja sam nie był w tej chwili słabszym od niego.

Czyż kiedy skończy się ta straszna noc! Wyczerpany zamknąłem oczy i zadrzemałem. W mych uszach dźwięczały łagodne uderzenia fal o skorupę lodową, które wkrótce w mózgu mym zmieniły się w sny miłe, choć zagadkowe.

— Toniemy!

Głośno rozbrzmiało nad mą głową. Obudziłem się i porwałem na nogi. Olbrzymi bałwan prawie całą naszą krę roztrzaskał. Gdzież moje sny rozkoszne?... Zmarznięci i drżący od wilgotnego potu wodnego przyciskamy się silniej do siebie. Gwiaździsta noc mruga nad nami, wełniste fale podnoszą się na prawo i na lewo. Gdzież brzeg, gdzież granica tej wodnej pustyni?

Na wschodzie zaledwie świta. Pierwsze promienie ranne wnikają w nasze zmęczone oczy. Cokolwiek lżej oddychamy, i znów zaczynamy wierzyć w możliwość bliskiego ratunku. Godziny mijają. Niebo i morze są bezdusznie puste. Ani żagla, ani lądu nie widać. I znów kładziemy się w niemej rozpaczy, jak skazani na śmierć, i owijamy się w nasze futra pokurczone od zimna. Myśli, jedne bardziej ponure od drugich, sny, wspomnienia, mnożą się w mej głowie, a tu, nad mojem uchem — ten wieczny szum, ten smutny pomruk morza. O, gdybym mógł choć na chwilę zapomnieć o sobie samym! Padłem twarzą na zimną skorupę lodową i płakałem gorzko za mem straconem życiem.

A dalej, wciąż dalej niosły nas fale.

— Ziemia! ziemia! — zabrzmiało nagle obok mnie. Zerwałem się i skoczyłem ku starcowi, który klęczał na brzegu kry. Jego sucha, słaba ręka była wyciągnięta naprzód, oczy tkwiły jak zahypnotyzowane w horyzoncie, gdzie się mglisto niewyraźne zarysy znaczyły.

— Ziemia! ziemia! — powtórzył młody chłopak, biegając jak szalony w tę i w tę stronę po ciasnej krze.

— Ziemia! ziemia! — zawołałem i ja, zapominając w tej chwili o wszystkich przeżytych mękach.

Co mogło nas czekać na tym mglistym kawałku ziemi? czy puste, granitowe skały, naga, szara, bezpłodna ziemia, czy samotna chatka łowcy wielorybów? Mogliśmy

wpaść w łapy niedźwiedzi polarnych lub umrzeć tam z głodu — ale wszystko to woleliśmy, byle tylko opuścić jak najprędzej tę wątłą skorupę lodową, wciąż kołysaną przez fale dzikiego morza!

— Patrzcie, oddalamy się od niego! — zawołał młody chłopak.

— Nie, nie! niesie nas wprost na ląd! — odpowiedział mu stary.

— Kra się rozpada!

— Mniejsza o to! niech się rozpada! Możemy ziemi dosięgnąć wpław. Patrzcie, jak rośnie!

Błogosławiona ziemia rosła szybko przed naszymi oczyma. Brzegi jej rozszerzały się coraz bardziej. Zarysy jej wierzchołków zmieniły się kilkakrotnie. Żaden z nas nie odwracał oczu od tej dalekiej oazy, na której skończyć się miały nasze cierpienia i nasza wędrówka. Każdy z nas tworzył sobie w duszy obraz tej wyspy, coraz ostrzej występującej z wody.

— Gdybyż tam tylko były jakie chaty.

— Dwadzieścia lat już jeżdżę po tem morzu, ale tej wyspy jeszcze nigdy nie widziałem — powiedział w zamyśleniu starzec.

— Żeby tylko woda była na niej.

— Co tam tak błyszczy zielono, jakby to lasy były?

Patrzyliśmy coraz uważniej w mgliste zarysy zbawczego lądu. Serca biły nam szybko, pierś się podnosiła silnie, w każdym z nas rosła jakaś siła nerwowa. Młodzieniec odłożył już swoje futro, aby mu nie przeszkadzało do pływania. Tylko pies wył beznadziejnie, spoglądając po niebie i wodzie i cisnąc się do nas.

— Patrzcie, bracia! — zawołał rozpacznie stary. — Brzeg! brzeg!

Skamienieliśmy z przerażenia.

Brzeg wyspy podnosił się powoli ku niebu i rozpłynął się jako szara chmurka. Wkrótce cały ląd uniósł się w górę i zawisł ponad morzem.

— Mój Boże, chmura! — jęknął chłopak.

I znów rozpostarła się martwa cisza nieskończonej przestrzeni. Bez ruchu staliśmy na brzegu kry naszej. Wolno biły serca, ręce bezsilnie opadły w dół, w oczach naszych stały łzy.

Młodzieniec pierwszy przyszedł do siebie. Rozwinął zwolna futro, otulił się weń i położył się znów na plecach. Osłupiałym wzrokiem spoglądał na bezbrzeżną płaszczyznę.

— Musimy umrzeć, bracia, godzina nasza nadeszła — jęknął stary.

— W wodzie pożrą nas rekiny!

Podzieliliśmy ostatni chleb i wypiliśmy resztę wody. Odtąd miały się zacząć jeszcze nowe męki głodu i pragnienia.

— Jest przecież pies! — Jakgdyby młodzieniec myśli nasze przeniknął.

— Pies? czyżbyś chciał go zjeść? naszego towarzysza?

Jakgdyby czuł, że o nim mowa, pies zawył silniej i zaczął biegać dokoła gładkiej powierzchni naszej pływającej wyspy.

(Dokończenie nastąpi).

MARYA KONOPNICKA.

PIEŚŃ O DOMU.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach —
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z ciernistych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew,
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz,
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!

SĄD W PODZIEMIACH.

W Wieliczce pod Krakowem wre życie głęboko pod ziemią w kopalni. Rano górnik wychodzi z domu i spuszcza się do białego pałacu podziemnego, aby wyjść z niego wieczorem. Przy świetle kaganków lśnią solne mury i mienią się barwami, ale gdy światła zabraknie, zda się czło-

wiekowi, jakby był żywcem pogrzebany.

Wszakże było raz inaczej. Zgasła lampka górnikowi, który lat kilkanaście pracował w Wieliczce i kochał kopalnię, niby swą chatę rodzoną. Znał każde przejście, każdą górę soli i z przyjemnością uderzał młotkiem w bryły, z których wypryskiwały skrzące się kryształy.

Gdy mu lampka zgasła onego dnia pamiętnego, zmęczony usiadł na ziemi, by trochę odpocząć, zanim nadejdzie który z towarzyszy i światła użyczy.

Nie czekał długo: wkrótce ukazał się płomyk na skręcie drogi w kopalni. Górnik myślał, że zbliża się kto z ludzi, alić niosący lampkę był jakiś wyższy i dziwnie piękny. Ubiór na nim czarny, górniczy, ale nie zwykły, jeno z lśniącej materyi, wyszywany drogimi kamieniami. Lampka w rękach szczerozłota. Za pierwszym ukazał się zaraz drugi płomyk, trzeci, dziesiąty, setny. Szli sznurem długim po jednym lub paru w rzędzie nadludzcy górnicy, poważni, jakby z kamiennemi twarzami, na których ani radość, ani ból się nie malowały. I chód ich był dziwny: sunęli cicho, jak cienie i wszyscy stawali przed skałą solną tuż koło górnika siedzącego. Znał on tę ścianę, i zdała mu się zawsze równa i gładka. Ale teraz widział w niej na własne oczy starożytne drzwi olbrzymie, niby w zakopiańskiej chacie, tylko nie kołeczkami nabijane, lecz rubinami i szmaragdami. Patrzy górnik na cienie, które przed nim suną: idzie król w złocistym stroju z mitrą na głowie, zdobną w trzy kwiaty solne i w płaszczu przeźroczystym, leciuchnym jak tchnienie. Przed królem niosą przymocowaną do oszczepu z kości słoniowej chorągiew płomienistą, na której srebrzy się napis: „Sprawiedliwość i miłość braterska“. Ukoronowany podpierał się świecącym toporkiem, a doszedłszy do onych drzwi starożytnych, uderzył w nie, aż się szeroko rozwarły. I górnik, siedzący na ziemi, zobaczył bogactwa niezmierzone: w sali szklistej z żyrandolami solnymi i mnóstwem świec i lamp wznosił się po kilku stopniach tron z baldachimem złocistym. Wchodzi król do przebogatej sali, zasiada na tronie. Siadają po bokach wielcy ministrowie z fioletowymi, żółtymi i czerwonymi kamieniami na czapkach górniczych. Staje w dwóch rzędach lud pospolity, a przy tronie jeden niby szambelan z młotkiem błyszczącym, snać porządku pilnuje.

Dziwuje się temu wszystkiemu górnik i patrzy co dalej będzie. Aż tu przed tronem staje jeden z towarzyszy, którego niedawno był pogrzeb. On sam i te same oczy zmęczone, plecy zgarbione i troska na twarzy.

Pozdrowił króla nizkim ukłonem i rzecze:

— Królu, na którego chorągwi srebrzy się napis: „sprawiedliwość i miłość braterska“, otom zszedł już ze świata, a jeszcze troska znaczy mi czoło, jeszcze się wyprostować nie mogą przygarbione plecy, jeszcze spokojem wiecznym nie świecą oczy, bo w trosce, niepokoju i krzywdzie biedzi się moja żona z dwojgiem małych dzieci. Zwierzchnik krzywdziciel zaprzecza jej prawa do moich zarobków. A ona nieboga, zaklina się i płacze, ale nie ma księgi wypłat, bom jeszcze ja ją zgubił. Zwierzchnik wie, co jest prawda, towarzysze też świadczą, ale nic to nie pomaga, a do sądu iść, prawować się, na to pieniądze potrzebne, skądże ich weźmie chudzina?

— Nie frasuj się, biedaku, który jeszcze o swoich sprawach ziemskich zapomnieć nie możesz. Rozpogódź czoło. W państwie naszem, w kopalniach sprawiedliwość rządzi i miłość braterska.

Stanie się jej i tym razem zadość. Słucha tu nas górnik, który żyw na ziemię powróci. On świadczyć będzie, że się żonie twojej zarobek mężowski należy.

Tu dwaj olbrzymi górnicy ze złotemi latarkami zbliżyli się do siedzącego przed progiem świetnej sali niemego świadka tej sceny i dali mu znak, by szedł z nimi.

— Zbliż się, człowieku szczęśliwy, dano ci poznać tajemnicze prawa kopalni dlatego, bo ją kochasz szczerze. Pamiętaj o nich, gdy na światło dzienne wyjdziesz. A jeśli z złym zwierzchnikiem nie będziesz mógł sobie poradzić, powiedz wobec wszystkich głośno to zaklęcie: „sprawiedliwość i miłość braterska nie opuści górników, zgiń, przepadnij, krzywdzicielu“. Teraz idź i nie mów nikomu, co widziałeś.

Oszołomiony górnik cofnął się do drzwi sali, jeden z duchów nalał mu oliwy i lampkę zapalił. Drzwi sali się zatrzasnęły i górnik został sam.

Spojrzał na ścianę solną — ani śladu podwoi, cicho i pusto, jak pierwej.

Gnany niecierpliwością górnik poszedł do szybu, a już i wszyscy u wejścia się zbierali, snać koniec pracy dziennej się zbliżał.

Nazajutrz korzystając z niedzieli, górnik od rana zakrzątnął się koło sprawy wdowy. Zebrał przyjaciół nieboszczyka, i razem

wszyscy wraz z poszkodowaną poszli do zwierzchnika.

Sprawa wyszła na stół na nowo, i znowu zwierzchnik żądał dowodów, znów przyjaciele daremnie świadczyli, aż ten, który ich sprowadził tym razem, zawołał: „Sprawiedliwość i miłość braterska nie opuści górników, zgiń, przepadnij, krzywdzicielu“.

— Chodźmy bracia — rzekł jeden z gromady, wygrażając pięścią, wyszli wszyscy z srogim pomrokiem. A taki ich duch miłości raptem owionął, że zaraz na ulicy zaczęli radzić, jakby wdowie dopomódz.

Wzięli ją w opiekę doskonałą, że tylko dziękowała z płaczem wdzięczności pełnym za taką ludzką poczciwość.

Na drugi dzień poszli do roboty górnicy, spuścił się do też szybu zły dozorca. Ale już nie wrócił, ani żywy, ani umarły. Nie wiedzieć, gdzie przepadł. Ciała jego nawet nie można było znaleźć.

Wdowa od następcy jego uzyskała wypłatę, dzięki staraniom przyjaciół. A górnik, co widział sąd w kopalni pod ziemią i chorągiew z srebrnym napisem, nic nikomu nie mówił, wiadomo bowiem, że duchy mszczą się, gdy nie usłuchać ich rozkazu. Tylko się ogromnie sam w sobie dziwował, a towarzyszom przekazywał, żeby byli zawsze sprawiedliwi, a wspólną miłością braterską podtrzymywali jeden drugiego w najrozmaitszych biedach życia.

Na tle podań o Wieliczce u Kolberga.

Wycieczka w zimie w Tatry.

TATRY W ZIMIE.

Zimno na świecie: to deszcz, to śnieg, to mróz na odmianę, ale nikogo pogoda taka nie dziwi; każdy wie, że teraz luty, miesiąc luty, to znaczy zły, srogi. Nie dla wszystkich on srogi, bo właśnie na drugiej połowie ziemi (południowej półkuli) upały teraz ogromne: lato tylko co się skończyło i za parę miesięcy zacznie się zima.

Jeżeli w dzień pogodny spojrzymy na południe z krakowskiego zamczyska — Wawelu — zobaczymy daleko na widnokręgu białą, poszczerbioną wstęgę — jakgdyby piłę ogromną z wapna albo gipsu, zębami obróconą do góry. To Tatry, góry nasze, wysokie i przepaściste, a białe dzisiaj dlatego, że śniegiem zupełnie, jak całunem, okryte. U nas i deszcz i śnieg i odwilż, a tam mróz i śnieg tylko — dlaczego? Może nie każdy z was domyśli się odrazu, a przyczyna jest prosta: im wyżej, tem powietrze chłodniejsze. Najniżej położone miejsca są na wysokości poziomu wody w morzu, okolice Krakowa już znacznie wyżej, bo 200 metrów nad morzem się wznoszą, Zakopane jeszcze wyżej — 850 m., zaś góry tatrzańskie wznoszą się przeciętnie na 2 kilometry nad wodą morza, a szczyt ich najwyższy, Gierlach albo Garłuch, na 2663 m. Łatwo więc pojąć, dlaczego gdy pluta na świecie, w Tatrach śnieg pada.

Piękne są Tatry, wielkie i groźne. Doliny, na dnie których zwykle płyną rwące górskie potoki, zarosłe są lasem lub kosodrzewiną, na wyższych piętrach zasypane

rumowiskami spadłych kamieni i głazów. Całe pola rozległe pokryte są tymi głazami, które po góralsku nazywają się tu m a l i n i a k a m i.

Wszakże nie sądźcie, że można wśród nich znaleźć maliny: na tych wysokościach maliny nie rosną. Nad maliniakami po bokach dolin wznoszą się usypiska kamieni które się od skał oderwały. Usypiska te zwą się p i a r g a m i. Nad piargami, wyżej w wielu miejscach zacienionych leżą śniegi przez całe lato, a ponad nimi wznoszą się ściany granitowe, olbrzymie skały, mchem drobnym porosłe, spękane i potrzaskane od mrozów: to t u r n i e, jak je nazywają miejscowi górale. Wśród turni głębokie, strome parowy, zwane ż l e b a m i.

Piękny świat tych turni, żlebów, krzesanic i maliniaków! Zimne, czarne skały naokół, nad sobą niebo, a spojrzysz w dół — przepaść, zda się, bezdenna, błękitnawą próżnią patrzy na ciebie. Ludziom nieobytym straszno w głąb spojrzeć: doznają zaraz zawrotu głowy. Tam i ówdzie na podniebnych skałach można dostrzedz k o z i c e, czyli dzikie kozy, które u nas jedynie w Tatrach się zachowały. Patrz, tam, nad zawrotną otchłanią stanęła bez ruchu i patrzy z góry na ciebie, wie, że nieprędko do niej dojść możesz, więc lęku nie ma, a gdy się zbliżysz na paręset metrów, syknie donośnie i w susach ogromnych biegnie znów wyżej, wskoczy na skałę i patrzy...

Ś w i s t a k i, zwierzątka wielkości kotów, mieszkają pośród kamieni, za zbliżeniem się człowieka stają na tylnych łapkach i gwiżdżą; w ten sposób ostrzegają się wzajem.

Mieszka też tam i gazda, czyli gospodarz tatrzański — niedźwiedź.

Wielki to zwierz i silny, człowieka jednak sam nie zaczepia: chodzi, zrywa jagody (borówki), w owsach szkody ludziom robi i rad zawsze barana porwać ze stada. Pasterze też tutejsi — jak ich tu nazywają — j u h a s i, znają gust misia i owiec strzegą, w czem im psy liptowskie, duże, kędzierzawe są bardzo pomocne.

A teraz, w zimie — bo zima w górach dopiero w maju ustąpi — biało i mroźno. Śniegi zalegają maliniaki, na turniach się bielą, na graniach wiszą ogromnymi fałdami. Nie można w góry inaczej się dostać, jak tylko na nartach. Trzeba jednak umieć dobrze na tych drewienkach jeździć, żeby dać sobie rady na stromych zboczach gór, wązkich, ośnieżonych graniach. Wprawny jednak narciarz tak kieruje niemi, że jadąc z wielką szybkością z góry, każdy kamień, każdy pień drzewny może ominąć, a gdyby zaszła potrzeba, odrazu stanąć na miejscu.

Z workami na plecach, zawierającymi ubranie i zapasy żywności, idą narciarze pod górę jeden za drugim. Zawsze tak chodzą, ponieważ w głębokim śniegu trudno jest pierwszy ślad przetorować; gdy pierwszy idący ślad już przeorał, następnym łatwiej się posuwać. Chociażby idących na nartach było kilka dziesiątków, zawsze idą „gęsiego“, tj. szeregiem, jeden za drugim. Z góry zjeżdżają, jak komu lepiej, jednak w takich odstępach, żeby z oczu się wzajem nie stracić. Idąc w góry podchodzą turyści na nartach pod turnie. Tam na nartach iść już nie można, więc zostawiają narty pod skałą, do nóg uwiązują żelaza z ostrymi hakami i przy pomocy tych haków wspinają się na skały. Obrazek załączony przedstawia takich tatrzańskich turystów, przechodzących niebezpieczne miejsce. Związani są liną, którą ubezpieczają jeden drugiego. Tak powoli, próbując śnieg c z e k a n a m i (stalowemi laskami), posuwają się w zaspach śniegowych. Na prawo, na lewo lodowate przepaście, na grani, którą przechodzą, śnieżne k o n i e i m o s t y, powietrze mroźne i ciche, śnieg iskrzy się w słońcu tysiącem brylantów.

M. Zaruski.

LISTY CZYTELNIKÓW.

MOJA „WIOSNA“.

Szanowna Redakcyo! Dowiedziawszy się, że wychodzi pisemko, poświęcone młodzieży robotniczej, nazwane „Wiosną“, postanowiłem dla użytku czytelników jego opisać przebieg „wiosny“ mego życia.

Gdy skończyłem szkołę, miałem lat 12 i wtedy stało się nieszczęście: umarli moi rodzice. Dostałem się do opiekuna, który na moje życzenie oddał mię do terminu do krawca, chciałem bowiem tak, jak moi starsi bracia, mieć chleb w ręku. W sądzie opiekuńczym w Żurawnie, skąd pochodzę, przydzielono mię do tego krawca na $3^1/_2$ roku nauki i za to miałem mu zapłacić 400 kor. Ale posłuchajcie, mili czytelnicy, jak to mię uczono za te 400 kor.! Pierwszego dnia uczyłem się rzeczywiście trzy-

mać igłę w palcach, ale już na drugi dzień zamiast igły, trzymałem widły, któremi gnój rozrzucałem — i tegom się naprawdę uczył całą zimę. Na wiosnę widły zamieniono mi na motykę, rydel i inne narzędzia, którymi się wiosną ziemię obrabia; w lecie kosa i sierp zastąpiły mi igłę, a jesienią znów cepy i rydel. Szyłem tylko w sobotę i w niedzielę, bo cały tydzień pracowało się w polu, a w dzień na odpoczynek przeznaczony musieliśmy na gwałt wykończać krawiecką robotę. W dodatku majster obchodził się z nami w najbrutalniejszy sposób, dość powiedzieć, żem nie mógł wytrzymać i po 3 latach, gdym już tylko 6 miesięcy miał do końca nauki — uciekłem od niego! Zgodziłem się już do innego majstra, gdy dostałem wezwanie do sądu opiekuńczego. Stanąłem na termin, majster mój dawny też stanął, nagadał sędziemu mnóstwo rzeczy na mnie, sędzia już krzyczał, żem samowolnie termin opuścił — ale gdym pokazał ranę na ciele, którą mi ten kat-majster zadał, sąd mię zwolnił z umowy. Puściłem się wtedy na jakiś czas na wędrówkę, a teraz od paru lat jestem w Przemyślu u innego majstra, który mnie dobrze traktuje. Mając więc 17 rok dopiero, przebyłem „wiosnę" moją w prawdziwej katordze! Pod pręgierz takich majstrów, którzy nękają i męczą młodzież robotniczą! To też wzywam was, robotnicy młodociani wszystkich zawodów, zbudujmy sobie silną organizacyę, która mogłaby stawiać czoło prześladowaniom i nadużyciom ze strony majstrów; stawajmy pod czerwonym sztandarem, bo tylko socyalistyczna organizacya zdolna jest los nasz poprawić!

Niech żyją organizacye robotników młodocianych!

Karol Vogel,
terminator krawiecki w Przemyślu.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Józefa J., Kraków. Cieszy nas, że czytelnicy mile powitali „Wiosnę" — mamy nadzieję, że z biegiem czasu coraz pisemko nasze ulepszać i powiększać będziemy mogli. O zagadki zawsze się starać będziemy — ale byłoby najmilej, gdyby nasi czytelnicy nadsyłali nam łamigłówki własnego pomysłu, dla nich samych byłoby to też przyjemniej, nieprawdaż? Trzeba tylko spróbować, nie uda się raz pierwszy, to może poraz drugi się powiedzie.

Jani K. z Krakowa dziękujemy za liścik z wiadomościami o sobie. Bardzo pragniemy zapoznać się bliżej z naszymi czytelnikami, a możemy to osiągnąć tylko z Waszą pomocą, przez Wasze listy. To też przypominamy Wam: piszcie do Redakcyi jaknajwięcej o sobie, my Wam zawsze odpowiemy i przez to zawiążemy bliższą znajomość.

Górnikowi z Libiąża. Pocieszcie się: nietylko Wam „Pan Bóg zapomniał dać pieniędzy"!

Bronia F. z Kołomyi zrobiła nam wielką przyjemność swym listem, tak szczerym i pełnym zaufania do nas. Niestety, niewiele w tym wypadku poradzić możemy! Wiadomą jest rzeczą, że nauczycielki w Galicyi pod względem materyalnym są w niezmiernie opłakanem położeniu, wprost głodem przymierają, a zależność od władz dusi je całe życie. Daleko prędzej do niezależności dojść może kobieta, zajmując się np. handlem, przemysłem lub nawet rękodziełem. Ale prócz krawiectwa odpowiedniemi zajęciami dla kobiety jest np. praca w drogueryi lub w aptece, introligatorstwo, (w Warszawie wiele kobiet ma własne zakłady introligatorskie) itp. Wybór zawodu — to rzeczywiście jedna z najważniejszych chwil w życiu — szczęśliwy ten, kto może zawodową pracę pogodzić ze swemi upodobaniami. Prosimy o częste listy.

Fr. Piek, Gruszów. Otrzymanie nagrody zupełnie nie zależy od „humoru redaktora", jak Wy piszecie, lecz od wyniku losowania, które odbywa się tak: pisze się nazwiska wszystkich, którzy przysłali dobre rozwiązanie, na osobnych kartkach, wrzuca się kartki do pudełka, poczem kilkoletnie dziecko, nieumiejące czytać wyciąga jedną z kartek, nie patrząc do pudełka. Otrzymuje nagrodę prenumerator, którego nazwisko zostało wyciągnięte. Może na inny raz Wy zostaniecie wylosowani.

ROZWIĄZANIA ZAGADEK

Z N-RU 1 „WIOSNY".

Łamigłówki sylabowej:

PopraD
sobota
bandos
pałasz
Ignacy — Ignacy Daszyński
kamień
andrus
kminek
dzieci

Przysłów:

1. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.
2. Nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje.
3. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.
4. Wart Pac pałaca, a pałac Paca.
5. Nie pożyczaj, zły obyczaj, nie oddają, jeszcze łają.

Zagadki: Śnieg.

Szarady: Ko-per-nik.

Pytań: 1. 2. Woda.

Dobre rozwiązania nadesłali:

L. Biegalski, St. Bieniasz, E. Bułat, W. Dudziakówna, F. Ekiertówna, B. Fuchsówna, Kl. Gągola, A Giebel, J. Grabarz, St. Iwińska, J. Jurkiewiczówna, J. Kilińska, P. Krochmaluk, St. Kruczkowski, W. Kucia, K. Lasocki, J. Matwijówna, J. Mączak, J. Olejak, Wł. Pawlak, Fr. Piekarczyk, St. Pilch, „Postępowy", M. Pyrzowski, K. Raganówna, Simchowie, B. Zarzycki, St. Zima.

Nagrodę, tj. książeczkę pt. „Przygody psa w Klondyke", napisaną przez słynnego amerykańskiego podróżnika Jacka Londona — otrzymuje wylosowany z pośród powyżej wymienionych Stanisław Bieniasz z Przeworska.

LOGOGRYF HISTORYCZNY.

W podanych wyrazach należy poprzestawiać litery tak, aby utworzyły się imiona i przydomki różnych królów polskich, pierwsze zaś ich litery, czytane z góry na dół, utworzyć mają imię, które nosiło kilku królów polskich:

sawebloł
harctobl
naslokigo
trekole
ass
tłekoike
sutgau
zaluzewys

SZARADA.

Pierwsze i czwarte — w składach ją [znajdziecie,
Trzecie z kreseczką, zna już małe dziecię,
Czwarte i pierwsze czasem łóżka zdobi,
Czwarte i drugie — gdy człek źle coś zrobi;
Drugie i czwarte widziałyście przecie,
Więc wam nie powiem, bo zapewne wiecie.
Pierwsze, drugie, trzecie w potrzebie się [nosi.
Wszystko razem wziąwszy, to marzenie Zosi.
Bo bez *wszystkiego* chodzić nie wypada,
Gdy słońce pali, a deszczyk nie pada.
Trzecie wstecz czasem też przynosi grosze,
Więcej nie powiem — odgadnijcie proszę!

Figiel arytmetyczny.

Pokój ma cztery kąty; w każdym kącie siedzi kot, a przed każdym kotem trzy koty. Ile wszystkich kotów jest w pokoju?

[Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek Redakcya przeznacza jako nagrodę pudełko zabawek.

SPROSTOWANIE.

W n-rze 1 „Wiosny" na str. 8 w 10 wierszu od góry wydrukowano przez pomyłkę: „Rzeka wpadająca do Dniestru" — powinno być: „do Dunajca".

TREŚĆ NUMERU 1:

„WIOSNA"

miesięcznik dla młodzieży, wychodzi raz na miesiąc jako bezpłatny dodatek do ilustrowanego tygodnika „Prawo Ludu". Adres dla listów i korespodencyi przeznaczonych dla „Wiosny": „Prawo Ludu", Kraków, ul. Filipa 2 dla „Wiosny".

Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Klemensiewicz. — Z Drukarni Ludowej w Krakowie.